Ner 2. Kraków 15 stycznia 1869. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa: w księgarni **J. Czecha** hotel dreździeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.

Uwiadomienie.

Z dzisiejszą datą przeszło wydawnictwo „Kaliny“ w inne ręce. — Mamy wszelką pewność, że zmiana osób nie pociągnie za sobą żadnéj niekorzystnéj zmiany w kierunku i charakterze pisma. Nie żegnamy się też z Publicznością, gdyż i nadal będziemy mieli zaszczyt liczyć się do rzędu współpracowników „Kaliny“.

Michał Bałucki. — Alfred Szczepański.

Z dniem dzisiejszym obejmując redakcyą „Kaliny“, nie zmieniamy w niczém jéj formy i dążności. — Mamy więc nadzieję, że czytająca Publiczność piękna i nadal zaszczyci nas równém zaufaniem i poparciem. — A staraniem naszém będzie pracą i wytrwałością zdobyć sobie uznanie ogółu. — Kraków 15 stycznia 1869 r.

Redakcyja.

Adryanna de Lafayette.

(ŻYCIORYS).

(Dokończenie).

Szczególniéj uwielbiała jego postępowanie, gdy narażając nawet swą popularność, nie dopuszczał popełniania zbrodni. Raz tylko jeden zdania ich były przeciwne, a to z powodu cywilnéj konstytucyi dla księży. Powodowana głębokiém przywiązaniem do wiary katolickiéj, pochwalała opór księży, wzbraniających się wykonania żądanéj od nich przysięgi, przyjmowała u siebie i udzielała protekcyi prześladowanym księżom niezaprzysiężonym, zachęcając ich do dalszego pełnienia swych obowiązków i domagania się wolności wiary. Przy sposobności gdy mąż jéj przyjmował u siebie konstytucyjnego biskupa paryskiego świeżo instalowanego, ona nie wyszła wcale na jego przyjęcie.

Gdy jenerał złożył dowództwo gwardyi narodowéj i udał się wraz z familiją do Auvergne, stało się zadość od dawna najgorętszému życzeniu jego żony, która tutaj ostatnich kilka dni niczém niezamąconego szczęścia przebyła. Jenerał objął niebawem dowództwo nad jedną z trzech armij wtedy utworzonych. Pismo jego przesłane do zgromadzenia prawodawczego przeciw Jakobinom, nieustraszona protestacyja, którą sam wniósł publicznie, napełniły biedną żonę radośoią ale i okropną obawą. Po katastrofie 10 sierpnia, po rozpaczliwym oporze jenerała i zapadnięciu wyroku przeznaczającago cenę na jego głowę, był tenże zmuszony opuścić kraj. Żona była zrezygnowaną na to, co nastąpić musiało. Jakoż w istocie z początkiem września 1792 r. uwięzioną została w domu na słowo, co trwało przeszło rok. Z końcem r. 1793 uwięziona powtórnie trzymaną była z początku w Brioude, późniéj odwiezioną została do Paryża do jednego z tych więzień, z których się nie wychodzi, chyba na rusztowanie. Dowiedziawszy się o straceniu babki, matki i siostry, pewną była, że i jéj ten sam los przypadnie w udziale, gdy zmiana rządu 9go thermidora ocaliła ją, nie przywracając jéj jednak wolności. Nienawiść Jakobinów prześladowała jeszcze nazwisko de Lafayetta. Więzienie opuściła dopiero w styczniu 1795.

Magnatki nasze będąc w położeniu pani de Lafayette, zapewnieby się nie zdobyły na tyle wzniosłości ducha. Po pierwszém uwięzieniu pisała do Brissat'a, którego dawniéj znała, żeby jéj dozwolono zostać więźniem na słowo w Auvergne. „Chcę być pana dłużnikiem za tę usługę“, rzekła mu, a pomimo zezwolenia upierały się władze rewolucyjne departamentu, by straż przed jéj domem postawić; wtedy ona osobiście udawszy się na posiedzenie, oświadczyła: „że się wcale słowem wiązać nie myśli, jeżeli ją strażą obstawią“, co nareszcie zaniechaném zostało. Korzystając z czasu, zajęła się interesami męża, a raczéj jego dłużnikami, gdyż pan de Lafayette, dziedzic ogromnego majątku, nadwerężył go znacznie przez swe przedsiębiorstwa. Zastosowano do niego prawa przeciw emigrantom i sprzedano jego dobra, przeciw czemu ona nadaremno protestowała. Żony wygnańców ponajwiększéj części brały wtedy rozwody w celu zachowania mienia dzieci i swego oso-

bistego bezpieczeństwa; jéj sumienie nie dozwalało użyć choćby tylko pozornie tego środka. Wszelkie żądania do władz, wszelkie prośby jakie wnosiła, zaczynała zawsze z wewnętrznêm zadowoleniem od słów: „Ja żona Lafayetta".

Sama tak nieszczęśliwą będąc, zajmowała się z prawdziwą troskliwością losem męża uwięzionego na rozkaz króla pruskiego i przenoszonego z jednego więzienia do drugiego; niemniejszą opieką otaczała dzieci. „Zawiadywała wszystkiém, pisze pani de Lasteyrie, nawet naszemi zabawami, zajmowała się sama naszą edukacyją tak, jakby to była czyniła w czasach najspokojniejszych. Z rana przechadzała się z nami, i w dali gdzieś nad strumykiem, lub w obliczu zachwycających gór zabawiała nas pouczającém czytaniem. Gdy ją odwieziono do Paryża, musiała nas zostawić bez środków do życia na łasce miłosierdzia, to też włościanie z dobrego serca zaspakajali nasze potrzeby; żyłyśmy z ciotką z pieniędzy przez nich z rozrzewniającą usłużnością nam pożyczanych, zakupiono nawet dla nas zamek i meble w Auvergne". Życiorys matki swéj w więzieniu skreślony, zakończa pani de Lafayette temi słowy: „Myśl, że postępuje drogą, na któréj mnie moi najdrożsi poprzedzili, zamienia w rozkosz okropności moich ostatnich męczarni.

Ledwie co opuściła więzienie, jedyną jéj myślą było odszukać męża i dzielić wszelki los jego. Wiedziała o nim tyle tylko, że jest uwięziony w Ołomuńcu, gdyż w wyszukaném swém barbarzeństwie zarząd twierdzy nie przepuszczał od więźniów żadnéj wieści do ich rodzin. Wysławszy syna swego, w celu zapewnienia mu bezpieczeństwa do chrzestnego ojca jenerała Washingtona do Ameryki, udała się z dwoma córkami do Wiednia i tam na audyjencyi u cesarza żądała jedynie, by jéj zezwolono zajmować wspólne więzienie z mężem, na co nareszcie po wielu zachodach zgodzono się. Zdrowie jenerała było w skutek trzechletniego ciężkiego więzienia znacznie nadwątlone — nie wiedział prawie zupełnie co się we Francyi działo. Pani de Lafayette z córkami musiała się poddać surowym przepisom więziennym, nie dozwolono im trzymać służącéj, nawet widelce były wzbronione. A kiedy bohaterska ta kobieta zachorowawszy, żądała, by jéj dozwolono dla porady lekarskiéj na kilka dni więzienie opuścić; oświadczono jéj, że może to uczynić, ale pod warunkiem, że tamże więcéj nie wróci. Na pytanie czy przyjmuje ten warunek, odpisała: Pan dowódzca twierdzy ołomunieckiéj zawiadomił mię, że na moją prośbę przepędzenia dla porady lekarskiéj ośmiu dni w Wiedniu, Jego C. Mość oświadczyć raczył, że na przyjazd mój do Wiednia pod żadnym warunkiem nie zezwala, zaś opuszczenie więzienia jest mi każdéj chwili dozwolone, pod warunkiem nie wrócenia tamże więcéj. Na to mam zaszczyt odpowiedzieć: że ze względu na mą rodzinę i przyjaciół obowiązaną wprawdzie jestem dbać o moje zdrowie; jednak oni to zgodnie ze mną uznają, że warunek powyższy jest nie do przyjęcia. Aż nadto tkwią mi w pamięci przetrwane męczarnie z powodu zupełnéj nieświadomości o losie męża, abym miała dobrowolnie raz jeszcze poddać im się. Jakikolwiek więc jest stan mego zdrowia i bez względu na niestósowność pobytu więziennego dla mych córek, z wdzięcznością korzystać będziemy i nadal z **łaski** cesarskiéj, dozwalającéj nam wspólnie dzielić los więzienia. Proszę pana przyjąć wyrazy uszanowania. *Noailles-Lafayette.*

Nigdy jeszcze znękana ofiara nie przemawiała z większą godnością do swych katów — drogo jednak swój heroizm opłacać musiała. Cierpiała okropnie wskutek puchliny nóg mając bezustannie febrę. Wtedy to przetykaczką od zębów i tuszem, bo posiadanie atramentu i piór było wzbronione, spisała po bokach księgi Buffona rzewne wspomnienia o życiu swéj matki. — Warunkowo sobie ofiarowanéj wolności również i Lafayette nie przyjął.

Tymczasem wojska francuzkie walczyły zwycięzko z Austryją we Włoszech. Jenerałowie Bonaparte i Clarke, pełnomocnicy francuzcy, żądali wydania więźniów ołomunieckich, wskutek tego Lafayette opuścił bezwarunkowo pięcioletnie więzienie w miesiącu wrześniu 1797 wraz z żoną i córkami, które dzieliły przez lat dwa los jego więzienny.

Po odzyskaniu wolności udali się do Holsztynu, gdzie pani de Montagu i inni członkowie rodziny zeszli się razem. Zewsząd otaczała ich ogólna sympatyja, cała Europa przyklasnęła godności zachowania się jenerała, podczas niesprawiedliwego więzienia, jak również wzniosłemu poświęceniu się jego żony. Tutaj wśród rozkoszy wiejskich używano danych chwil bez troski, tutaj starsza ich córka wyszła za mąż. Panią de Lafayette ciągle chorą na nogi, przynieśli syn i zięć do kaplicy na obrzęd ślubny.

Sprawy rodzinne zniewoliły ją pomimo choroby do powrotu do kraju; dla męża granice Francyi były ciągle jeszcze zamknięte.

Po rewolucyi 18 brumaira jenerał bawiący wtedy w Hollandyi pospieszył do Paryża, nie żądając poprzednio wymazania z listy emigrantów. W celu przebłagania têm oburzonego pierwszego konsula udała się do niego pani de Lafayette, zawsze gotowa do czynów stanowczych, tłumacząc mu z godnością i taktem wyjątkowe położenie jéj męża, jakoteż, że powrót jego wywrze dobre wrażenie na opinią publiczną. Bonaparte zdziwiony jéj determinacyją i mową odrzekł: „Przyjemnie mi, że miałem sposobność zrobienia znajomości z Panią, spostrzegam w Niéj umysł wzniosły a zarazem i wielką nieznajomość rzeczy publicznych". Zgodził się jednak na to, że jenerał zostanie w kraju, bez żądania upoważnienia i będzie czekał na wsi na le

galne zniesienie wyroku wygnania. Małżonkowie osiedli w zamku de Lagrange-Blineau w Brie, starém dziedzictwie księżnéj d'Ayen. Dnie tutaj przebyte były najszczęśliwszemi w ich życiu. Jenerał cofnął się od wszelkiego udziału politycznego za czasów konsulatu i cesarstwa i trudnił się za przykładem swego przyjaciela Washingtona gospodarstwem. Życie wśród ogromu zdarzeń i wielkich nieszczęść nie obałamuciło wcale umysłu pani de Lafayette dumą, kółko familijne w spokojném wiejskiém zaciszu, oddane sobie nawzajem w miłości — wystarczało jéj zupełnie. Te szczęśliwe lata przeszły jednak szybko, jéj zdrowie nadwerężone pobytem w Ołomuńcu nie mogło nigdy zupełnie dawnych sił odzyskać — umarła w grudniu 1800 r. mając niespełna lat 48.

Jenerał tak nieustraszony w życiu publiczném był zupełnie złamany po stracie żony. Wymownem świadectwem nieutulonego żalu, jest list jego pisany 1808 r. do p. de Latour-Maubourg współtowarzysza więzienia ołomunieckiego: „Boleść moja chętnie się wylewa na pierś najstalszego i najdroższego powiernika wszystkich moich myśli wśród tylu burz życia, w których nieraz czułem się nieszczęśliwym. Dotąd widziałeś mię zawsze silniejszym niżeli okoliczności, które mnie otaczały, teraz okoliczności mają przewagę nademną. Ja się już nigdy nie podniosę więcéj. W przeciągu 34 lat związku, w którym czułość, dobroć, wzniosłość umysłu i delikatność uprzyjemniały, upiększały, zaszczycały me życie, tak przyzwyczajony byłem do tego, czém ona była dla mnie, że nie rozróżniałem wcale jéj i mego życia. Miała lat 14 a ja 16, gdy jéj serce złączyło się ze wszystkiém, co tylko mnie zajmować mogło. Sądziłem żem ją kochał potrzebując jéj do życia, jednak teraz dopiero po jéj stracie ocenić mogę, ile ze mnie zostało". Daléj następują długie i bolesne szczegóły świadczące o ostateczném zniechęceniu, pomieszane ze wspomnieniami przeszłości, w których nagromadza z bolesną przyjemnością wszystko, co tylko mogło odzwierciedlić tę anielską kobietę. Szczegóły te mają rozrzewniający urok, który do głębi porusza. W ostatnich dniach swego życia zapadła w bezprzytomność, jednak odzyskała ją znowu widząc rodzinę około swego łoża. „Co za miłe kółko, rzekła — życie to jest krótkie i niespokojne, złączmy się w Bogu i idźmy razem do wieczności". Dzień swéj śmierci odgadła mówiąc: „Dzisiaj ujrzę mą matkę". Gdy czuła zbliżającą się ostatnią chwilę, wziąwszy męża za rękę rzekła mu: „Jestem zupełnie twoją". To były jéj ostatnie słowa, a słowa te były treścią jéj życia całego.

Pochowaną została, wspomina daléj jenerał w liście, według swego życzenia w cichości obok dołu, w którym spoczywały jéj babka, matka i siostra z 1600 ofiarami. Słowa te przypominają jeden z najszlachetniejszych uczynków pani de Lafayette. Po powrocie do Francyi wywiadywała się troskliwie wraz z siostrami o miejscu, gdzie pochowaną została ich matka, co nie tak łatwo uskutecznić się dało. Rusztowanie na placu rewolucyjnym nie wystarczało, chciano iść raźniéj, utworzono więc drugie przy barierze de la Trône — otóż tutaj stracone zostały księżna d'Ayen wraz z matką i córką. Niedaleko bariery na drodze do Saint-Mandé obok ruin klasztoru znajdował się kawał pola; tam wykopano wielki dół, do którego wrzucano codziennie ofiary bez trumien, odzienia, słowem bez najmniejszéj odznaki dozwalającéj zwłoki rozeznać. Dół ten został późniéj zasypanym i nawet pamięć o nim zaginęła. Wspomniane wyżéj trzy siostry nie były dosyć bogate, by same zakupić mogły to pole wraz z ruinami, rozpisały więc składkę pomiędzy krewnymi reszty męczenników, a w parę lat pole zostało zakupione i murem otoczone, kaplica wzniesioną i stary klasztór odnowionym, co teraz klasztorem i cmentarzem Piepus się nazywa, i gdzie tylko rodziny właścicieli mają prawo nowe groby otwierać.

Taką była pani de Lafayette. Niepodobna wyobrazić sobie wznioślejszego wzoru kobiety jako córki, siostry, żony i matki. Oszczercy narodu francuzkiego winni być mniéj surowymi na czasy, które wydały mężów jak Lafayette i de Noailles, oraz kobiety jak księżna d'Ayen i jéj córki.

NIEZAPOMINAJKI

tłómaczenie melodyj narodowych

w albumie pani S...

Zrazu płynęły tęskne, poważne akordy...
Potém wzmogły się gromem i jak burza rosły.
Słychać jęki, wystrzały — zgrzyt szabel i mordy,
Świst granatów — to krwawéj śmierci idą posły.
Potém trąbką sygnały oddały wedety:
I rozległ się głos wodzów: naprzód! na bagnety!...

*
* *

Skończono wreszcie walkę — zdobyto armaty —
I zagrano na wiwat z moskiewskich moździerzy...
Potém jeszcze kolejno szły inne wiwaty —
Najsmutniejszy w cześć ległéj na polu młodzieży!
Skopano jéj dół wielki i żegnano szczerze:
Łzy płyną na pierś ziemi — a w niebo pacierze!

*
* *

W pochód, w pochód młodzieńcy! nie czas nam na żale.
Więc formują się pułki i stają legiony.
Rozwiano chorągiewki, na których wspaniale
Z jednéj strony lśni orzeł — pogoń z drugiéj strony!

Wylecieli jak strzała z ojcowistéj wioski:
I tylko wiatr im niesie piosnkę: „marsz Dąbrowski“

* * *

Przybyli — odkiełznali spienione koniki,
I stanęli do tańca — chichoczą z dziewczęty.
Jeszcze tylko wioskowéj nie staje muzyki,
Nadszedł skrzypek, grzmią kotły — taniec rozpoczęty,
Suną się zwolna pary, wiją się i biegą,
A muzyka tymczasem huczy „Ogińskiego“!

* * *

Przy miodku, przy lipcowym rozsiadły się starce,
I patrzą się na młodzież i muskają wąsy...
A wszakżeć to i oni szli niegdyś na harce:
I nie w takie to pląsy, bo z moskalem pląsy!
Więc podnoszą się z miejsca i trącą w szklanice:
„Wiwat wódz nasz Kościuszko! wiwat Racławice“!

* * *

A matki dziatwę swoją tulące do łona,
Splatają jéj rączęta do kornéj modlitwy:
Panie! przed Tobą pada drożyna stęskniona,
Złączonych serc i dłoni — Korony i Litwy!
Oh! usłysz jęki ludu i łzy i błaganie:
„Ojczyznę wolność naszą racz nam wrócić Panie“!

Władysław Bełza.

O powieści i powieściopisarzach

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy.)

Z nowszych romansopisarzy, którzy naśladowali Walter-Skota, zasługują szczególnie na uwagę: *Grabowski*, *Hofmanowa* i *Czajkowski*. Forma powieści *Michała Grabowskiego (Edwarda Tarszy)* wprawdzie wielce przypomina albiońskiego pisarza, ale nie jest niewolniczém przedrzeźnianiem: nie wynika ona z rozmysłu, ale z konieczności, z przedmiotu, z natchnienia i owszem jest zdobyczą umysłową na korzyść literatury. — Romansom jego jak, „Koliszczyzna i stepy“, „Stannica Hulajpolska“, „Tajkury“ — można zarzucić manierowanie i brak ruchu, ale nikt nie zarzuci im wielkiego zajęcia i trafnego obrazowania prawdy historycznéj. Widać z nich, że obrazy przeszłości skreślił mistrz, który długo zastanawiał się nad teoryją tworzenia i nauczył się dobrze cudownéj swojéj tajemnicy. Chcąc, aby pisarze powieści historycznéj studjowali jako uczeń epokę, którą mieli przedstawiać w swoich obrazach, przepisał on granice zmyślenia, zdefiniował koloryt. — *Hofmanowa* spróbowała prywatne pamiętniki („Pamiętniki Franciszki Krasińskiéj“) o znajomych sobie familijach ogłosić jako powieść narodową, a nawet historyczną. Nic innego nie przedsięwziął zrazu Walter-Skot. Jego romanse, a nawet jego poezyje były to pozbierane tradycyje, z któremi nim on cały świat czytający zaznajomił, opowiadali sobie poufale Jakobiccy starcy i damy przy kominach, pamiętali Górale, jako genealogiczne chluby. Cała różnica w tém była, że pamiątki pogrzebowego między Angliją i Szkocyją kraju były obfitsze i poetyczniejsze, niż historyje domów i rodzin, którym się przysłuchiwała autorka polska; była i ta także różnica, że pierwsze obrobione zostały przez jednego z tych geniuszów, których wieki tylko wydają. Jakkolwiekbądź, między Walter-Skotem a Hofmanową było szczersze nierównie pokrewieństwo ducha, aniżeli we wszystkich tak zwanych Walterskotacyjach, a w literaturze polskiéj odkrywał się pierwiastek bogaty i ten sam, z którego wyszła, jak ze źródła, czarująca całą Europę i pełna przyszłości sztuka. Prócz tego napisała Hofmanowa z wielkim talentem powieści: „Jan Kochanowski w Czarnolesiu“, „Karolina“, „Krystyna“ i wiele innych. — Trzeci z naśladowców albiońskiego romansopisarza *Michał Czajkowski* ile razy wziął się do historycznéj powieści na wzór Walter-Skota, zawsze złamał w nich prawdę. Dowodem tego powieści jego: „Wernyhora“, „Kirdżali“, „Stefan Czarniecki“, „Hetman Ukrainy“. Ma on jednak tę zaletę, że stworzył w powieści nową formę i nowy styl popłacający długo swą oryginalnością; a biorąc za przedmiot natchnień swoich, badań i utworów czy to poetycznych, czy literackich, Ruś polską czyli Kozaczyznę, która skutkiem politycznéj unii należała do Polski, spełnił niejako obowiązek, jaki na literaturze i duchu polskim ciążył, aby podnieść do ideału rzeczy, należące do składu dziejów. Romanse jego rozpalające i zachwycające, w końcu straciły wiele, gdyż jednotonność formy i treści, odbierała im wszelki powab nowości.

Jak Czajkowski z Ukrainą, tak powieści prócz wymienionych Kraszewskiego, Korzeniowskiego i Grabowskiego, także *Ignacego Chodźki* i *Zenona Fisza (Tadeusza Padalicy)*, obznajomiły z Polesiem, Wołyniem, Podolem i Litwą, dały nam nieznane tamtych stron typy i użyły świeżego, oryginalnego kolorytu, którym cudnie te utwory ubarwione. Kiedy zaś *Józef Dzierzkowski* malował potężném piórem typy galicyjskie, a *Leszek Borkowski* smagał biczem chłosty grzechy tamtéj społeczności, *Gregorowicz* wypełnił sam brak pisarza ludowego. Jego „Obrazki wiejskie“, a wyższe nad nie „Wiejskie zarysy“, dały nam poznać z blizka z całym urokiem prawdy lud nasz sandomierski, jak w mniejszych rozmiarach *Leon Kunicki* zapoznaje nas z okolicami nadbużańskiemi starego Podlasia, a *Walery Wielogłowski* z obyczajami ludu krakowskiego.

Po tych przychodzimy już wprost do ostatecznéj fazy, którą romans u nas przyjął, to jest, że przeszedł z historycznego na pole polityczno-socyalnego i obyczajowego życia; tutaj dopełnił niejako swego zadania realistycznego w narodzie. Pokazał nam przykrą prozę życia i oznaczył nowe jego dążności; nie mogąc się zaś pogodzić sam z rzeczywistością i z życiem, wytknął poczęści drogi dla europejskiego społeczeństwa, które ostatecznie prowadzą do reform społecznych. — Obyczajowa powieść ma niejako trzy oblicza; jedném patrzy na przeszłość, drugiém patrzy na tę walkę, przez którą naród z epoki starożytnéj ku nowożytnéj przechodzi; trzeciém w końcu obliczém patrzy na dzisiejsze nasze stosunki, rozgląda się w nich i wyciąga z nich pewną naukę. Pierwsze oblicze odźwierciedla się w *Hofmanowéj*, w *Czajkowskim*, w *Rzewuskim*; a po części i w *Miniszewskim* (galeryja obrazów szlacheckich); drugie w *Kraszewskim, Korzeniowskim, Kaczkowskim, Grabowskim, Chodźce, Dzierzkowskim, Chojeckim (Alkkadar), Łozińskim Walerym* i *Miłkowskim (Jeż.)* trzecie w *Zachariasiewiczu Janie*: („Na kresach“, „Święty Jur“, „W przededniu“); w *Bolesławicie:* („Dziecię starego miasta“, „Szpieg“, „My i Oni“, „Para czerwona“, „Żyd“, „Moskal“, „Tułacze“); *Spirydyonie:* („Silni i Słabi“) — i *Elpidonie*: („Przebudzeni“, „Starzy i Młodzi“). W powieściach tych ostatnich widzimy z całą prawdą malowidło wierne już nie wczorajszych, ale dzisiejszych stosunków; widzimy każde uczucie, które dziś w sercach drga, którego odbicie znajdziemy w naszych społecznych stosunkach.

Wspomnieć w końcu należy jako o celniejszych współczesnych romansopisarzach, o *Tyszyńskim* („Amerykanka w Polsce“, „Morena“), *Chojeckim* („Alkkadar“), *Miniszewskim* („Galerya obrazów szlacheckich“) — o humorystach *Wilkońskim* („Ramoty i Ramotki“), *Szczęsnym Morawskim*, o *Łozińskim Władysławie*, *Pietkiewiczu* („Pług“), *Miłkowskim* („Jeż“), *Niewiarowskim*, *Jankowskim* („John of Dycalp“), *Wolskim Włodzimierzu*, *Turskim* — o kobietach: *Sztyrmer Eleonorze*, *Żmichowskiéj*, *Nakwaskiéj*, *Wojnarowskiéj*, *Wilkońskiéj* itd.

Nie jestto bynajmniéj paradoks, jeśli powiem, (jak krytyk powiedział) że romans w naszych czasach przerósł wszystkie rodzaje poezyi. Wymaga on wszelkich przymiotów poetycznego utworu, a na warunkach żadnego ze zwyczajnych gatunków poematu jeszcze nie przestanie. Jestto dramat przy wszystkich wymaganiach téj najtrudniejszéj gałęzi sztuki, tylko że musi być umieszczony nadto na tle o ile możności najwięcéj malowniczém. Jeżeli to jest prawdą, co za prawdę powszechnie uchodzi, że dzisiaj szukamy poezyi rzeczy a nie poezyi słów, temu żądaniu sam tylko romans w pełni odpowie. Nie mają w nim bowiem miejsca tryby dawnych czasów sięgające, nienaturalne ruchy, które zwyczaj tylko uprawnia, blichtr wyrażeń nic tu nie nada, nie pomogą błyskotne rusztowania, które podtrzymują blachą rozmowę niejednego nowoczesnego poematu tutaj charaktery powinny być rozmaite a prawdziwe, akcya dramatyczna, interes winien nie z obcych wstawek, ale z saméj rzeczy wynikać, trzeba, ażeby całe zmyślenie owiane było poezyą, jak gdyby w wieku prostego czucia i fantazyi, a jednak, aby nasz krytyczny rozum na wszystko pozwolił, naturalném i rzeczywistném uznał. Kiedy więc spotykamy utwór taki, jak większą część romansów *Walter-Skota*, np. „Narzeczona z Lammermooru“, który nie ukazał nam nic nad to, na co codziennie patrzyć możemy, a jednak przesunął się przed oczyma naszemi jak krajobraz romantyczny, rozkołysał naszą imaginacyę, jak nigdy żaden poemat, a w końcu zostawił po sobie wrażenie żywsze i głębsze, niż jakakolwiek tragedya — bez wahania się takową powieść stawimy za najznakomitsze dzieło nowożytnéj poezyi, i przekonamy się, że ten rodzaj poematu tak sprawiedliwie może w naszéj epoce brać pierwszeństwo przed innemi, jak w innych czasach innym to było zostawione.

Jeżeli tedy romans nie jest tak posuwisty, iżby każdy jednym tchem przeczytać go pragnął, jeżeli tak imaginacyją jak stylem, tj. tak pomysłami jak wykonaniem nie oczaruje czytelnika do tego stopnia, że temu przykro będzie rozstawać się z książką — wtedy pomimo jakichbądź innych zalet, książki téj do dobrych romansów policzyć nie można. Tam gdzie nie same fakta rozumują, ale autor lub osoba przezeń wybrana do prowadzenia rozprawy, tam zamiast gorącego działania mamy zimne rozumowania, zamiast charakterów morały, zamiast zjawisk życia, anatomiję. A cóż się wtedy dzieje z czytelnikiem? Jedno z dwojga, albo on jest miłośnikiem rozumowań ścisłych, a wtedy romans będzie dla niego za wiotki i porzuci go dla naukowéj książki, albo też jest przyjacielem rozrywki, a wtedy romans będzie dla niego za nudny i porzuci go dla *Paul de Kocka*.

. . . .

Jeśli przejrzymy wszystkie romansu utwory, czy to pierwszych pisarzy naszych, czy pośledniejszych, należy nam się zapytać i ocenić dokładnie, ażali zasługują na potępienie jakie. Powieść, która w obszernych swoich ramach połknęła dramat, satyrę, elegie, komedyje i wszelkie drobne i większe rodzaje tak poezyi jak i prozy, czy przedstawiając nam obrazy przeszłości krajowéj, czy malując wiernie rysy i typy naszych czasów lub ubiegłych wspomnień, dała nam tyle znakomitych utworów artystycznych, które są chlubą naszéj literatury, zajęła tak podniosłe stanowisko, że jéj groty szyderstwa już ranić nie mogą. Stała się potrzebą żyjącéj społeczności, a nic jéj z zajętéj dziedziny nie wyruszy; na ciosy ironii i wzgardę nie zasługuje bynajmniéj. Prawda, że w obcych zagranicznych, a głównie

w francuzkiéj literaturze wpłynęły one zbyt szkodliwie na społeczność, ale w tém nie wina romansu, ale samych autorów, którzy niecne cele wtłaczali w ramy wdzięczne romansu, i jak shańbili szlachetną sztukę dramatyczną, tak obłocili karty mnóstwa powieści. My jednak nie potrzebujemy się lękać, że młode umysły mogą napawać jadem zgorszenia, pijąc z pełnéj czary duchowéj, podsuwanéj coraz świeżo, w kształcie wdzięcznego romansu. Jeżeli się zdarzyły wypadki, że i u nas pokazały się wybryki, stała na straży zaraz opinia narodu, która silnym głosem klątwy straszyła grzesznych. Mieliśmy czasem obłędy i naszych zdolniejszych pisarzy — okrzyk opinii zwracał je zaraz na drogę prostą, a groźba jéj była tak silna, że musieli z głową kornie pochylonę wysłuchać jéj wyroku. Usterki te małe, (o których wpływie niżéj nieco powiem) nie każą całości pięknéj, jaką nam przedstawia zbiór romansów polskich od 30 lat wydawanych. Dążność szlachetna, czysta moralność *), prawda w oddaniu wierném przedstawianych postaci, staranność w malowaniu różnych okolic dawnéj Rzeczypospolitéj polskiéj, wprowadzenie nawet żywiołu ludowego, wszystko ubarwione znakomitym talentem, oddane językiem czystym, rodzinnym, dało nam poczet dzieł, które nietylko były w ręku wszystkich miłośników literatury ojczystéj, ale po wzniosłych utworach poetów naszych, zwróciły cudzoziemców uwagę i na obce języki tłómaczone, imieniowi polskiemu dodały rozgłosu. Zaprawdę, przecież nietylko te zalety zdobią powieść naszą; zwolna ona i z wdzięcznym uśmiechem, wabiąc mile, pod przyprawą cukrową podaje naukę, obudza myśl i uczucie szlachetne. Biada pisarzowi, któryby w téj szacie podał pokarm dla duszy trujący, podłą i nikczemną myśl chciał przeprowadzić, albo brudy uświęcał piórem; napiętnowany wzgardą opinii słuszną chłostę otrzyma, nawet go wyższy talent z pod jéj ciosów nie chroni. Wzgarda będzie mu towarzyszem, a imie jego obudzi tylko niechęć i klątwę. Tym zacną i szlachetną myślą nacechowanym romansom winniśmy to olbrzymie powiększenie koła naszych czytelników polskich książek. Ludzie, którzy nic nigdy nie czytali, wdrożeni do czytania romansami, zaczynają smakować w tym duchowym pokarmie, staje się to ich niezbędną potrzebą, i zwolna z powieści przychodzą do dzieł poważniejszéj treści. Powieści takie rozbudziły w publiczności zamiłowanie do sztuk pięknych. Młodzi artyści wybierali wydatniejsze z nich sceny do obrazów swoich, powieść była znaną i ulubioną, obrazek zajmował wszystkich. Niemasz obawy, aby romans jaką szkodę literaturze polskiéj zadał; wielkie już nam dał korzyści i wysłużył sobie to zaszczytne stanowisko, że po poezyi o jeden tylko stopień niżéj stanął i zespolił się z nią, tak ściśle, iż stanowi jakby tylko drugie ogniwo spojone jednego łańcucha. Że tak wysoko stanął, że tak szeroce rozpanował się w literaturze naszéj, to właśnie dowodzi jego potrzeby i wartości, iż właśnie teraz jego czas do kwitnienia, iż woń jego kwiatów miłą jest i konieczną na ożywienie cierpkiéj prozy naszego życia, bo mogą przyjść czasy, kiedy umilknie, a jedna p o e z y a tylko, jako nieśmiertelny anioł — stróż ziemi naszéj, nie ucichnie, ale grzmieć będzie nad nękanym narodem pieśnią swoją! (C. d. n.)

*) Pod tym względem pisarze nasi często aż zanadto byli skrupulatni i porwani zbytnią gorączką moralności, przechodzą w dydaktyzm. Nie mam także nic przeciw dydaktycznym powieściom, kiedy im wysoki talent i prawdziwe natchnienie da życie, i owszem, ale też trzeba tém większego talentu i tém prawdziwszego natchnienia, bo tém trudniejsze zadanie. Jeżeli zaś ów dydaktyzm ciągle z powieściowéj tkanki wyziera i wszędzie jakoby prelekcya z katedry znużonego czytelnika ściga, wtedy utwór własnego celu jako dzieło sztuki chybia.

Jak moja ciotka Izabela została starą panną.

POWIEŚĆ

przez ***Karolinę Reybaud.***

(Ciąg dalszy.)

Gdy twoja ciotka Izabela była w tym wieku co ty — była również piękną. Wcześnie utraciła ojca, i została jéj tylko matka, która była moją starszą siostrą, i z którą mieszkałam od czasu mego owdowienia. Izabela była jedyném dzieckiem méj siostry. Lubo że nie miała bardzo wielkiego posagu, niejeden majętny lub wielkiego znaczenia człowiek, mógł bez wahania starać się o jéj rękę. Wiedziała ona o tém dobrze i nie spieszyła się z wyborem. Lecz ani bogactwo, ani wielki rozgłos nie miały dla niéj powabu. Starało się już o nią kilku znacznych adwokatów i kilku sławnych malarzy — odmówiła wszystkim. Zgłosił się także pewien polityk, człowiek świetnego powodzenia: posiadał wiele wykształcenia, niemniéj ambicyi i zaufania w siebie samego — jego talent pisarski był już znany — zresztą mówił, że kocha moją siostrzankę szalenie, a Izabela zrobiła nam tę nadzieję, że może on będzie tym szczęśliwym śmiertelnikiem, któregoby wybrała, ale wszelkie formalne układy względem tego odłożyła na późniéj, zostawiając sobie czas do namysłu.

Jak ci już wspominałam wyżéj, od śmierci męża mieszkałam u méj siostry; wszystko dzieliłyśmy wspólnie — nawet ukochana Izabela — że tak powiem — była naszém wspólném dziecięciem. Było to po koronacyi Karola X., cały Paryż jaśniał świetnością i blaskiem — byłyśmy prawie przesycone ciągłemi zabawami. Wtém moja siostra zapadła na zdrowiu — zaczęła

kaszleć i lekarze zalecili jéj wody w G... Wyjechaliśmy 1go sierpnia.

O uzdrawiających wodach w G. opowiadano cuda, i jak widać nie przesadzano, gdyż chorzy tłumem zjeżdżali się do tego miasteczka poczerniałego, pełnego duszących wyziewów, i będącego w nader złém położeniu. Mała rzeka co je przecina, nie była nigdy czystą; wielkie pola zasadzone ziemniakami, zastępowały miejsce łąk kwiecistych strumykami poprzerzynanych — wielkie wzgórza uprawione i zasiane aż po same wierzchołki, zasłaniały niebo. Byłto jednêm słowem kawał ziemi uprawny, mający prawie dwie tylko barwy, szarą i zieloną, krajobraz, którego jednostajność przywodziła do rozpaczy. Izabela, gdy wyszła ze mną na balkon naszego pomieszkania, wykrzyknęła, zakrywając sobie oczy: „Ach! co za brzydki obraz!“

W naszém sąsiedztwie niedaleko stał obszerny budynek, pokryty płaskim dachem i otoczony pięknym ogrodem, który, jak widać było, nie dawno został założonym.

Zapytałam jednéj kobiety z domu zajezdnego, kto zamieszkuje ten wielki dom?

„Pani chce mówić pałac“ — poprawiła mnie kobieta z miną tryumfującą.

„Właścicielem jest pewien chory, który został uzdrowiony w skutek naszéj wody; przybył tu całkiem sparaliżowany, a teraz już dwa razy dziennie obiega swój ogród i dlatego widzi pani, nie chce nas już porzucić“.

— „A czy nie mógłby przyjeżdżać każdéj pory roku?“

— „Niezawodnie — ale on woli tu pozostać, aby nie stracić z óczu tych źródeł cudownych“.

— „A przez zimę nabawia się widokiem ich pary“ — przerwała Izabela — „w czasie karnawału nie musi tu mieć innych przyjemności“.

— „Gdyby chciał, pani, to mógłby urządzić u siebie teatr i różne zabawy; to człowiek bogaty — wielki bogacz“.

— „Czyto Anglik?“ spytała jeszcze Izabela.

— „Nie — to Włoch; nazywają go jenerałem Saldini — było nawet kilku papieży z jego familii. — Jego służba tytułuje go „Jaśnie Wielmożny“ — jestto bardzo uprzejmy pan i bardzo dobroczynny. Kłania się każdemu i rozdaje wiele pieniędzy ubogim“.

— „A jego rodzina?

— „Nie jest liczną — do towarzystwa nie ma, jak tylko swego syna — zowią go „książę Kamil“; jest to piękny młodzieniec — ale że się tu niebardzo bawi, każdy to widzi“.

— „A to jakim sposobem?“

— „Bo nigdy nie bierze udziału w żadnych rozrywkach... Nie widać go nigdy w towarzystwie młodych ludzi, nie chodzi nigdy do kawiarni i nie czyta dzienników. W ostatnim karnawale były zabawy w dwóch domach tego miasteczka, u pana burmistrza i u pana doktora... Oczywiście książę Kamil był zaproszony. I wystawcie sobie moje panie — pozostał w domu! Mówią, że cały dzień gra na skrzypcach. Często udaje się na przejażdżkę konno. Już dwa lata jak tu bawi, a przez ten czas nie podróżował nigdzie. Oto wszystko, co mogę paniom powiedzieć o mieszkańcach tego pałacu“.

Po téj pogadance kobieta pożegnała nas i odeszła.

Pewnego dnia przyszła pani burmistrzowa do nas z pierwszą wizytą. Była to kobietka mała, okrągła i bez najmniejszych pretensyj. Zapoznała nas z tutejszemi stosunkami.

— „Tu panie nie znajdziecie wiele rozrywek — każden siedzi w domu — zgromadzamy się najwięcéj dwa lub trzy razy do roku na wspólną zabawę, i to jeszcze...“

— „Trzeba to zmienić koniecznie“ — rzekła poważnie Izabela.

— „To bardzo trudno“ — odparła burmistrzowa; i potém z rodzajem zaufania badała, zniżając głos: „Dla tych pań potrzeba wielkich strojów; nie ukazałyby się na balu dwa razy w jednéj sukni. Do tańca trzeba im trzewików białych atłasowych, kwiatów sztucznych we włosach, klejnotów i koronek. Ten zbytek i próżność przeszkadzają naturalnie wszystkiemu; każdy zatém zostaje u siebie — i towarzystwo tutejsze zasyła sobie ukłony z daleka, spotkawszy się na przechadzce“.

— „To wszystko trzeba zmienić“ — powtarzała Izabela. „Mamo, ty dasz bal i zaprosisz całe miasto; a my będziemy w białych sukniach z zwyczajną wstążką we włosach“.

— „Zacznijmy najprzód od mniejszego wieczorka, zauważyła burmistrzowa. Początek ja zrobię i zaproszę do siebie. Będzie to wieczór muzykalny, a potém potańczemy. Za dwa tygodnie przypadają imieniny mego męża, i to będzie najlepsza sposobność; boję się tylko, aby nie robiono wiele zbytku w toalecie“.

Po chwili, w naturalném następstwie rzeczy, zaczęła się rozmowa o możnym panu włoskim, któremu się tak dobrze wiodło w G...

— „To straszny dziwak“ — rzekła burmistrzowa, cierpi bardzo na podagrę i reumatyzm tak, że krokiem z domu wyjść nie może. W pierwszym roku swego tutaj pobytu, kupił ten wielki budynek, co tam oto panie widzicie. Byłto poprostu zwyczajny dom, z którego architekt włoski zrobił mu pałac — kazał sprowadzić swoje meble i swoją bibliotekę. Nareszcie zgromadził tu cały swój dom i służbę — i w końcu swego jedynego syna, księcia Kamyla. Teraz się tu na dobre ustalił i mieszka już u nas dwa lata. Książę Kamil nie bywa nigdzie — ale mnie przecie robi dwie wizyty etykietalne co roku. To prawdziwy dzik, i wątpię, żeby go można kiedy oswoić i wciągnąć w towarzystwo“.

W kilka dni później spotkaliśmy na przechadzce pięknego księcia Kamila, jak go nazywano w G...

Nic nie zdradzało jego pochodzenia: był blondyn i to dawało mu nieco podobieństwa do Anglika — był wysmukły i szczupły, jak pruski oficer — jego ruchy nie były wymuszone ani przesadzone, a przecież przebijało w nich wiele delikatności i elegancyi, tak, że można go było wziąść za Francuza. Izabela postępowała obok mnie — spostrzegłszy go, szepnęła, ściskając mi rękę: „Oto ten odludek — jak go pani burmistrzowa nazywa — uważaj, bo nam się kłania".

I w samej rzeczy książę Kamil uchylił kapelusza, nie patrząc nawet na nas — i przeszedł jak cień.

W wieczór tego samego dnia była cudna pogoda — promienie księżyca oświetlały cały krajobraz i dawały mu piękną postać, pola zasadzone burakami i ziemniakami, były podobne zdaleka do łąk kwiecistych — wzgórza uprawione zdawały się być łańcuchem gór okrytych lasami — a szczególniéj pałac Saldinich ze swoim nizkim dachem, ze swoją ballustradą i balkonami misternemi — przybrał czarującą postać. Siostra moja usiadła na kanapie przy otwartém oknie i prosiła, aby jéj zagrać coś wesołego. Izabela czyniąc zadość jéj życzeniu, wzięła swą harfę, bo wtenczas grano zwykle na harfie. Dla mnie dźwięki gitary miały więcéj powabu, nie wydałam się jednak z moim gustem. Najprzód moja siostrzenica grała nam cały zapas walców, kadrylów, kawałki z tańców Dunkequa — zgoła, wszystkie aryje, które wówczas były w modzie. Nogi podemną skakały — a przecież już nie byłam tak młodą; ale muzyka Izabeli mogła była zelektryzować nawet umierającego. Zwolna wesołe allegro zcichło i przemieniło się w słodkie, rzewne tony — harfa zdawała się wydobywać z siebie westchnienia i jęki... byłto jakby głos rozpaczy i łkania, które było słychać w tych rozdzierających dźwiękach; nasza Izabela posiadała wielki talent muzyczny!

— „A my do tego czasu nie wiedzieliśmy, że ciotka Izabela gra!" przerwałam zdziwiona. — „Ale gdzież ona podziała swoją harfę?"

— „Niezawodnie zagrzebała w niepamięci wraz z wszystkiém, co jéj tak żywo przypomina jéj dawne sny illuzyowe" — rzekła poważnie sędziwa dama.

„Ale wróćmy do naszego opowiadania:

Jak ci już mówiłam, moja mała, byłyśmy wszystkie trzy w salonie — moja siostra i ja wzruszone do głębi i zachwycone. Izabela oddana zupełnie swoim natchnieniom, wywoływała daléj jęki z swéj harfy... Wtém zdało mi się, że słyszę z daleka, jakby oklaski — wkrótce jednak wszystko ucichło i pomyślałam, że to było złudzeniem. Ale po przeciągu może piętnastu minut, nie można było wątpić o tém: cudny bukiet wpadł przez otwarte okno do nóg Izabeli. Wyszłam na balkon, ale nie widziałam nikogo.

— „To wielbiciel twego talentu posyła ci ten bukiet" — rzekła moja siostra, nasycając się zapachem jego upajającym. „Ale z kądby mogły być te szczególne kwiatki? — W tutejszych ogrodach nie znajdziemy ich".

Izabela zamyśliła się trochę i rzekła zarumieniwszy się zlekka: „W oranżeryi księcia Saldiniego zapewne się znajdą".

W kilka dni późniéj poszliśmy na bal do p. burmistrzowéj. Miała słuszność, znaleźliśmy tylko cztéry tancerki, których jednak ubiór odznaczał się elegancyją i wystawnością: trzewiki z białego atłasu, suknie gazowe, wieńce z róż z listkami złotemi lub srebrnemi, kosztowne bransolety blizko po łokcie, i wszystko wyszywane perłami. Nasza Izabela była w sukni białéj muślinowéj ze skromną przepaską z fijołkowéj wstążki w swych jasnych włosach, a w ręku wachlarz z zielonego papieru.

Wszedłszy, spostrzegłam zaraz księcia Kamila, przeciw naszym spodziewaniom i pomimo znanéj w ogóle jego dzikości, przybył jednak na bal, i zdawał się być nawet usposobionym do zabawy.

Zabawa, na któréj nie ma jak tylko pół tuzina tancerek, i zamiast błyszczących uniformów wojskowych, widzimy te czarne ubiory cywilne, co tak licho odbijają wśród świetnych strojów — taka zabawa nie może być zachwycającą; jednak i tam można się zabawić, zwłaszcza, gdy orkiestra jest dobra, gdy światła dostatkiem i gdy panowie nie siedzą całą noc przy kartach. Te warunki znalazły się w zupełności u p. burmistrzowéj. Tańczono aż do białego dnia. Izabela miała wiele szczęścia ze swoim pojedyńczym strojem: ta Paryżanka trzymała swój wachlarz zielony jak berło — jak berło wdzięku i piękności. Książę Kamil tańczył dwa razy z nią. I on także miał wiele szczęścia tego wieczora. — Był on podobnym do jakiego ambasadora weneckiego z swą twarzą delikatną i posępną — ze swemi złotemi włosami i dłonią prawdziwie patrycyuszowską w swym czarnym stroju, przy którym twarz jego odbijała jeszcze melancholiczniéj i poważniéj.

Od tego dnia zgromadzano się częściéj u p. burmistrzowéj. Zabawiano się muzyką, tańczono, i o północy rozchodzono się do domu. Byliśmy zawsze na tych zgromadzeniach, gdzie Izabela bawiła się wybornie, starając się nawzajem towarzystwo przyciągnąć do nas. W niektórych popołudniach schodzili się do nas goście — zabawialiśmy się trochę, a potém robiliśmy dalekie wycieczki w pole. Książę Kamil stał się mniéj odludnym — towarzyszył nam często, a lubo nie brał bardzo czynnego udziału w tych zabawach, nie wymawiał się jednak od przechadzki. Spostrzegłam wkrótce, że serce Izabeli owładło skryte uczucie miłości, i byłam z tego względu bardzo niespokojną; lecz cóż było robić, aby stłumić tę budzącą się miłość, która mogła złe skutki pociągnąć za sobą? Poznałam wtenczas, że chybiliśmy zupełnie w wychowaniu naszego jedynego

dziecięcia. Izabela posiadała tysiąc pięknych przymiotów: była szczerą, miała poświęcającą się i szlachetną duszę — ale zanadto była przyzwyczajoną słuchać tylko swéj woli — ona to właściwie rządziła w naszém kółku rodzinném. Nie miała ani podległości, ani względów żadnych dla matki. Co do mnie, którą nazywała swoją drogą ciocią, swoją małą kotką i przyjaciołką, nie myślała wcale zdawać mi rachunku z moich uwag, które jéj czyniłam. Zresztą trzeba przyznać, że było to dziecko rozpieszczone, dumne i w każdym względzie uparte. Nie chciałam niepokoić siostry mojemi przeczuciami, ale czułam konieczném objaśnić Izabelę o stanie jéj duszy. Było bardzo widoczném, że jeżeli ona kochała księcia Kamila, to on nie mógł mieć dla niéj, jak tylko spokojną przyjaźń. Sposobność bardzo naturalna nadarzyła się wkrótce do zbadania serca mojéj siostrzanki. Pewnego dnia moja siostra otrzymała list od starającego się o rękę Izabeli, który jeszcze żywił niejakie nadzieje; odnawiał swoje prośby i życzył mieć prędką odpowiedź. Ten list daliśmy do przeczytania Izabeli. Nie doczytawszy nawet do końca, zmięła papier i rzekła żywo: „Myślałam, że już nie ma mowy o tém małżeństwie; moja dobra matko — napisz do pana Clamecy, aby już więcéj o mnie nie myślał — tak — nigdy więcéj!“

— „A więc odmawiasz?“

— „Odmawiam nieodwołalnie“.

(Dok. nast.)

Do młodych pieśniarzy.

Młodzi pieśniarze! hardzi a butni!
Jakież wy pieśni z Bojanów lutni
Snujecie nam?
Wy wszystkim nerwom, co w piersiach drgają,
Wszystkim uczuciom co w sercah grają,
Rzucacie kłam!

Na toż na czoła wasze natchnione
Bóg łaski zdroje zlał niezliczone,
Aby z nas drwić?
I jako parki nam na sromotę
Nim pasma życia splotą się złote,
Przecinać nić?

Miast w serca nasze wlewać nadzieję,
Całemi piersmi wołać, że dnieje,
Zwiastować świt...
Wy nam nucicie dzikie rozpacze,
Niemęzkie żale, niewieście płacze
I piekieł zgrzyt!

Tradycyj — których lat tyle strzegło,
Daleko oko wasze odbiegło...
Gdzie szukać dróg?
Więc rozbrat z wami, rozbrat zaprzańce!
Bowiem nie Pańscy wy pomazańce!
Nie z wami Bóg!

Wł. Bełza.

WIERSZYK

napisany na wachlarzu.

Zapomnij — to był szał.
Serce już cicho śpi,
Amorek nie ma strzał —
Bezpiecznym ja i ty.

On widać dłuższy czas
Figlować z nami chciał.
I byłby znudził nas,
Ale mu brakło strzał.

Aleksander.

Nie jesteśmy sobie nic winni.

Komedya w 1. akcie,

przez

Adama Bełcikowskiego.

OSOBY:

PAN KĄKOLNICKI. — CECYLIA, jego córka. — ANIELA. — LUDWIK. — EDMUND. — LOKAJ.

Rzecz dzieje się na wsi w domu p. Kąkolnickiego, w blizkości Warszawy.

Dekoracya wyobraża elegancki wiejski salonik; po obu stronach stoliki i krzesła; dwoje drzwi bocznych, w głębi szerokie drzwi oszklone z widokiem na ogród.

SCENA 1.

LUDWIK (sam)

(wchodzi drzwiami w głębi; zdejmuje kapelusz; chwilę rozgląda się na około). — Nie ma trzech miesięcy jak pożegnałem te miejsca. Wyobrażałem sobie, że nie będzie dla mnie dnia szczęśliwszego nad ten, w którym je znowu powitam — a dzisiaj.... (Bierze różę leżącą na stole). Róża nawpół uwiędła... ona musiała należeć do Cecylii.... Dawniéj byłbym ten kwiat do ust przycisnął, dzisiaj lękam się go zarazić swym oddechem. (Kładzie różę). Jestem nikczemnik, zdrajca.... Oh, Cecylijo!.. (drzwiami głównemi wchodzi Edmund).

SCENA II.

LUDWIK. — EDMUND.

EDMUND

(patrząc na zegarek). Jeszcze nie powrócili; już blisko od godziny spaceruję po ogrodzie. A przecież Cecylia wyraźnie wczoraj żądała, abym dziś wcześniéj przybył. (spostrzega Ludwika). A, jakiś nieznajomy! (do Ludwika) Daruj pan, że go zaczepiam, ale domyślam się, że obaj przybyliśmy tu w jednym celu.

LUDWIK.

W jednym celu?.. jakto?...

EDMUND.

To jest i ja i pan przybyliśmy złożyć wizytę panu Kąkolnickiemu.

LUDWIK.

Tak jest, nie inaczéj.

EDMUND.

Nie mieliśmy szczęścia zastać go w domu.

LUDWIK.

Czy wyjechał?...

EDMUND.

Nie, panie. Tak źle podobno nie jest. Mówiono mi, że państwo wyszli na spacer — to jest pan Kąkolnicki, jego córka i jakaś jeszcze pani dzisiaj tu przybyła. Miejmy tylko chwilę cierpliwości, a doczekamy się ich. Tymczasem pozwolisz pan, że się zapoznamy.

LUDWIK.

Ludwik Zagórski, inżynier.

EDMUND.

Edmund Olszański, sąsiad pana Kąkolnickiego.

LUDWIK.

Sąsiad?...

EDMUND.

Pojmuję, iż to pana dziwi. W istocie, dopiero od kilku tygodni należę do mieszkańców téj okolicy. Sprzedałem swój majątek na Podlasiu, a kupiłem bardzo piękną wieś tu w sąsiedztwie. Znasz ją pan zapewne, ta wielka, piękna wieś pana Erazma, z urodzajną glebą i rozległemi lasami.

LUDWIK.

Tak, przypominam sobie.

EDMUND.

Za tę wieś zapłaciłem dwakroć trzydzieści tysięcy, mogę jednak powiedzieć, że zrobiłem dobry interes, co i pan zapewne przyznasz.

LUDWIK.

Bezwątpienia.

EDMUND.

Z téj przyczyny nie mogłem mieć szczęścia być panu znajomym. Natomiast muszę wyznać, że nazwisko pańskie nie jest mi obcém. Słyszałem je w têm domu. Pan Kąkolnicki i panna Cecylia wspominali nieraz o panu....

LUDWIK (d. s.)

Ona o mnie wspominała!...

EDMUND.

Panna Cecylia niecierpliwie wyglądała pańskiego powrotu....

LUDWIK (d. s.)

Wyglądała mego powrotu!...

EDMUND.

Pragnąc jak najprędzéj widzieć sprawunki, które pan dla niéj miałeś za granicą porobić. Bo jeżli się nie mylę, pan wracasz z wystawy?

LUDWIK.

Tak panie, z wystawy.

EDMUND.

Dawno pan wróciłeś do kraju?

LUDWIK.

Od kilku dni dopiero jestem w Warszawie.

EDMUND.

Pan mieszkasz zwyczajnie w mieście?

LUDWIK.

Tak, panie.

EDMUND.

I w Warszawie poznałeś pana Kąkolnickiego?

LUDWIK.

Tak.

EDMUND.

Zapewne podczas karnawału?

LUDWIK (d. s.)

Tak. Oh, te wspomnienia boleść mi sprawiają!

EDMUND (d. s.)

Coś bardzo lakoniczny! Wygląda mi na podejrzaną figurę.... No, ależ ja nie mam powodu obawiać się rywala. (drzwiami od ogrodu wchodzi Aniela, kapelusz okrągły w ręku — za nią lokaj).

SCENA III.

LUNWIK. — EDMUND. — ANIELA. — LOKAJ.

ANIELA

(zatrzymując się w głębi, do lokaja). Niech kareta zajedzie po państwo pod figurę. (Lokaj wychodzi — Aniela zbliża się na przód sceny).

LUDWIK

(na jéj widok (d. s.) Aniela!?.. Tego jeszcze brakowało!

EDMUND (n. s.)

Ona tutaj!?..

ANIELA

(spostrzegłszy ich). Ah!...

LUDWIK i EDMUND.

(kłaniając się). Pani!...

ANIELA

(wpół d. s.) Co za szczególne zdarzenie! (głośno) Dawno już pana nie widziałam, panie Edmundzie. (do Ludwika) Pan powróciłeś z zagranicy prędzéj, niż zamyślałeś. Panowie przybyliście odwiedzić mego kuzyna?

EDMUND.

Tak jest, przyjechaliśmy z wizytą.

ANIELA.

Obaj razem?

EDMUND.

O nie, pani, każdy z osobna. Dziś po raz pierwszy miałem szczęście poznać tego pana. Lecz pani obaj jesteśmy znajomi?

ANIELA.

Tak jest. Pana Ludwika poznałam przed kilku tygodniami za granicą. Spotkaliśmy się w którychś kąpielach niemieckich....

LUDWIK.

W Wiesbaden.

ANIELA.

Tak, w Wiesbaden. (z uśmiechem n. s.) Masz pan dobrą pamięć.

LUDWIK (n. s.)

Pani!...

ANIELA.

Dziś właśnie przybyłam do mego kuzyna, którego widziałam lat temu kilkanaście, gdy byłam jeszcze małém dzieckidm. Już dawno bardzo nie byłam w tych stronach.

EDMUND.

Trzeba zaiste bylo nader szczęśliwego dla nas zdarzenia, żebyś pani po latach kilkunastu odwiedziła swego kuzyna. (d. s.) Czy ją tu nieszczęście przyniosło!

LUDWIK.

Prawda, co za szczęśliwy wypadek!... (d. s.) Wszędzie, ale nie tutaj!

ANIELA

(spoglądając na Ludwika d. s.) Jaki on blady i wzruszony!... (głośno) Panowie czekacie tu już długo. Ale niebawem nadejdzie i reszta towarzystwa. Mój kuzyn utrudził się bardzo tą przechadzką, tak, że musiał przez chwilę pod cieniem drzew wypocząć. Skorzystałam z tego, aby udać się naprzód do dworu i wysłać po niego karetę, któréj na seryo zaczął pragnąć, a przy téj sposobności zmienić trochę toaletę, która jak panowie widzicie, dotychczas jest podróżną. Do widzenia zatém. (kłania się — do Edmunda n. s.) Staraj się pan jak najprędzéj ze mną sam na sam zobaczyć.

EDMUND (n. s.)

Niczego więcéj nie pragnę.

ANIELA.

Do widzenia. (odchodzi na prawo)

LUDWIK (d. s.)

Fatalność mię prześladuje... spotkać Anielę w domu Cecylii!...

EDMUND (d. s.)

Jeżli Aniela nie zapomniala o moich zobowiązaniach, gotowa mi popsuć wszystkie szyki... moje marzenia gospodarstwa na rozległą skalę! (słychać turkot. Głośno) Nasz gospodarz przyjeżdża.

LUDWIK (d. s.)

Mam stanąć przed nią... odwagi!...

SCENA IV.

LUDWIK.— EDMUND.— P. KĄKOLNICKI.— CECYLIA.— LOKAJ.

P. KĄKOLNICKI

(prowadzony przez Cecylią i lokaja wchodząc na scenę). A mówiłem: jedźmy karetą, dzisiaj okropny upał, zmęczymy się niepotrzebnie. Ale wam moje panie zawsze pstro w głowie, zawsze tylko biegać, skakać. Uf! jestem cały jak w parowéj łaźni — co za gorąco! trzeba było odrazu wziąć karetę. Uf! (siada, Edmund i Ludwik kłaniają się) Witam kochany sąsiedzie. (ociera twarz chustką) A, pan Ludwik! — miło mi bardzo....

LUDWIK.

Wróciwszy przed kilku dniami z zagranicy, uważałem za pierwszy obowiązek....

CECYLIA.

Jaki pan dobry, żeś pan o nas nie zapomniał....

LUDWIK.

Czyż można było.... (d. s.) Czemuż mię tak słodko wita!...

P. KĄKOLNICKI.

Przywiozłeś pan jéj sprawunki?

LUDWIK.

Złożone w przedpokoju.

CECYLIA.

Jakżem ciekawa je zobaczyć. Nie wątpię, że wszystko gustowne. Wincenty, przynieś rzeczy z przedpokoju. (Lokaj wychodzi)

P. KĄKOLNICKI.

Uf! jakie gorąco! Wyobraź sobie kochany sąsiedzie, te panie.... Bo wiész może, iż moja kuzyna pani Aniela jest u mnie...

EDMUND.

Widzieliśmy ją przed chwilą. Szczęśliwym wypadkiem pani Aniela i mnie i temu panu jest znajomą. Przed paru miesiącami mieszkaliśmy w jednych stronach.

P. KĄKOLNICKI.

A, zapomniałem — panowie się nie znacie....

EDMUND.

Zrobiliśmy już znajomość przed chwilą.

P. KĄKOLNICKI.

Otóż wyobraź sobie kochany sąsiedzie, te panie uparły się koniecznie na takie gorąco iść piechotą. Byłże to rozum! Od czegóż Pan Bóg stworzył konie, i od czego ja mam karetę? Niech sobie używa przechadzki i słońca, kto nie moze jeździć, ale pocóż ja mam chodzić piechotą, kiedy mogę karetą jechać? Ta młodzież to nie ma rozumu. Uf! nie mogę przyjść do

siebie. (Lokaj wnosi pudła i pudełka. Stawia je na drugiéj stronie p. Kąkolnickiego. Cecylia i Edmund przechodzą na tę stronę)

CECYLIA (przeglądając sprawunki).

Jakie piękne rzeczy! Doprawdy, jestem panu bardzo wdzięczną.

LUDWIK.

Pani!... (d. s.) Znowu ten uśmiech dobroci na ustach!

P. KĄKOLNICKI. (do Ludwika)

Pan tedy widziałeś Paryż?... bardzo w nim dużo ludzi, hę?

LUDWIK.

Zjazd cudzoziemców był bardzo wielki.

P. KĄKOLNICKI.

A domy? ogromne?... i ciągle walą i budują?... Pan Ignacy mówił mi, że nie można przejść przez ulicę, tak wiele rumowiska. Przyjemna rzecz! Ci ludzie dzisiaj nie mają rozumu.

LUDWIK.

W istocie, Paryż od lat dziesięciu bardzo się odmienił, nie poznałbyś go pan dobrodziej.

P. KĄKOLNICKI.

Mój panie, ja nigdy nie byłem w Paryżu. Za moich czasów nie było to co dzisiaj. Dziś lada chłystek dorwawszy się kilkuset złotych, pędzi do Paryża. Za moich czasów tylko porządny, zamożny obywatel mógł sobie na to pozwolić, a przed laty dwudziestu dorabiałem się dopiero fortuny, i miałem rozum, że nie trzeba próżno grosza tracić. Co mi po tém, widzieć jak świat wygląda, a mieć pustki w kieszeni. Ale wy dzisiaj latacie jak szaleni na wszystkie strony. Poco? naco? Jakiż z tego zaszczyt, żeś widział Paryż albo Londyn, gdy nie ma prawie rzemieślnika ani fabrykanta, któryby tego nie zrobił.

LUDWIK.

To postęp za sobą prowadzi.

P. KĄKOLNICKI.

Postęp?... Ot, głupstwo ten cały wasz postęp! Jeżli mi nie wyciągnie złotówki z kieszeni, to pewnie nie przyczyni. Umiecie niby wiele, znacie się na wszystkiém, nad wszystkiém rozumujecie, przewracacie wszystko do góry nogami, szastacie się po całym świecie — i cóż z tego? Czy macie więcéj pieniędzy? Gdzie tam! robicie się tylko dumni i zarozumiali, ten co nie ma nic sądzi, że równy kروciowemu lub milijonowemu panu, bo ma niby rozum i wykształcenie. Wszystko to blichtr, pycha i głupstwo. Na przykład pan, uczyłeś się przez kilka lat za granicą, badałeś te wasze nowe wynalazki, jeździłeś to tam to owdzie, by poznać, co nowego jaki Francuz lub Anglik wymyślił, a czy masz większą pensyę od tych kolegów, którzy tylko tyle się uczyli, ile było trzeba do ich fachu?

LUDWIK.

Własne wykształcenie i pożytek dla kraju wynagradza mi to.

P. KĄKOLNICKI.

Teorya bez sensu! W głowie wam się przewraca, powiadam. Albo dzisiejsi konkurenci do małżeństwa! W ich oczach zginęła wszelka różnica stanów i majątku. Jestem adwokatem, doktorem, artystą lub technikiem, a zatém człowiekiem użytecznym społeczeństwu, tak sobie rozumują ci panowie, mam więc prawo do ręki każdéj panny, choćby najbogatszéj dziedziczki. Jestże to rozum? Czyliż teść jest obowiązany oddać mu całą swoją pracę, albo żywić go z żoną i z dziećmi? Jego własne dochody nie wystarczą nawet na konkury. Na przykład pan, wiele pan masz pensyi?

LUDWIK.

Siedm tysięcy.

P. KĄKOLNICKI.

Siedem tysięcy!... Wyobraź sobie pan, czy mógłbyś się z tą pensyą przyzwoicie ożenić? To ledwie wystarcza na twoje utrzymanie. Gdybyś się ożenił z ubogą, umarlibyście z głodu, a bogatéj na taką pensyę nikt ci nie da. Jest jednak bardzo wielu młodych ludzi, którzy mając siedm tysięcy, chcą się żenić i dom prowadzić. Jestże to rozum? Goli a zarozumiali! Czyż nie mam racyi, panie Edmundzie?... Ale pan widzę, zagadałeś się z Cesią.

EDMUND.

Przeglądamy tutaj sprawunki.

CECYLIA.

Gustowne, piękne, eleganckie! jeszcze raz panu dziękuję. Zabieram je zaraz do siebie. Wincenty! (Lokaj zabiera pudełka)

P. KĄKOLNICKI.

Zabawcie się tu panowie sami przez chwilę. Muszę iść się przebrać. Co za gorąco — uf! A mówiłem, żeby jechać karetą.

CECYLIA

(kłania się obecnym — n. s. do Ludwika) Chcę pomówić z panem na osobności.

(Odchodzą: P. Kąkolnicki na lewo, Cecylia na prawo. Edmund odprowadza p. Kąkolnickiego do drzwi)

SCENA V.

LUDWIK. — EDMUND.

LUDWIK (d. s.)

Chce się widzieć ze mną.... Miałażby już o wszystkiém być uwiadomioną?... Może Aniela wynurzyła się przed nią.... Co ona mi powié? Ah, to prawdziwa męka!...

EDMUND (d. s.)

Muszę jak najprędzéj rozmówić się z Anielą. Nie wątpię, że przyzna mi słuszność. Aniela jest rozsądną

kobietą. (głośno) Korzystając z nieobecności dam, możemy zapalić cygara. (macając się po kieszeni) Ba, zapomniałem ich widać w powozie. (chce odejść)

LUDWIK.

(podając cygarówkę) Mogę panu służyć.

EDMUND.

Przepraszam, przyszła mi ochota na papieros.

LUDWIK

(odwraca cygarówkę). Są i papierosy.

EDMUND.

To jest właściwie... o téj porze przyzwyczajony jestem palić fajkę. Pan nie palasz fajki?

LUDWIK.

Nie.

EDMUND.

To szkoda. Nie uwierzysz pan, jaka to przyjemność palić dobry tytoń z czysto utrzymanéj fajki. Ja zawsze mam w powozie krótką stambułkę i tytoń. (d. s.) Muszę gdziebądź wynaleść Anielę. (odchodzi drzwiami w głębi)

SCENA VI.

LUDWIK (sam).

Szczęśliwy człowiek — nie ma o niczém więcéj myśleć jak o swojéj stambułce — a ja?... Tak, mnie należy zdobyć się na ten krok stanowczy, za jednym razem przeciąć łączące nas węzły! Chwila boleści przeminie prędko w jéj pięknéj i szlachetnéj duszy. Dla czegóżby miała cierpieć?... Czyż godzien tego podobny jak ja człowiek. Czyż może żałować tego, co w jéj oczach wszelką wartość wkrótce utraci? Milczeć, byłoby to oszukiwać je obie. Tak, pójdę szukać Cecylii, powiem jéj wszystko, niech mną pogardza, niech mię przeklina, ale niech pozna, że jeszcze jedna została mi cnota, że jestem szczéry i otwarty. Tak, powiem jéj wszystko.... (C. d. n.)

TEATR. — (*Drahomira*). — P. Weilen jest to niefortuny autor wielu utworów z przyprawianemi szczudłami. Kiedy grano w Wiedniu jakąś jego komedyją, przylepiono na posągu X. Eug. Sabaudzkiego (który na koniu pędzi) zapytanie: Czemu pan tak uciekasz czy przed komedyją Weilena? Otóż temu p. W... przydarzył się pomysł, mający dwie zalety: Najpierw, że narodowy żywioł czeski ściera się z obcym, niemieckim — ztąd skutek, że sztuka może mieć w Pradze pewien demonstracyjny pieprzyk. Powtóre, że jedyną, bohaterką jest kobieta — a ztąd znowu wynikł przekład sztuki dla kobiecego dziennika „Bluszcz“ — i wybór téj sztuki przez P. Modrzejewską na benefis. Atoli pomysł swój wykonał autor arcyniedramatycznie. Wziął jednę kobietę Drahomirę i kazał jéj przedstawiać pogaństwo; każe jéj deklamować, przeklinać, pięknie jurować, machać mieczem, modlić się do bogów — aż czasem przez te przybory dobędzie się z jéj piersi krzyk za porwanym synem. Wziął drugą kobietę - Ludmiłę i kazał jéj przedstawiać ewanieliczne chrześciaństwo, każe jéj modlić się, potem znowu modlić, płakać, potém znowu modlić — następnie wziął Tumana rycerza słowiańskiego i zrobił z niego intryganta i romantycznego kochanka; wziął mnicha, kilku starców, dużo ludu zbrojnego, nareszcie pioruny i grzmoty, które się zjawiają zawsze w samą porę, aby dać sposobność do wypowiedzenia tyrady: oby te pioruny... itd. Według takiéj recepty ułożona jest długa sztuka, któréj z trudnością do końca wysłuchać można. Są to same l i r y c z n e, i jako takie wcale ładne wylewy, ale wybornego tematu nie umiał autor wcale d r a m a t y c z n i e wyzyskać. Wprowadzając dwa przeciwne żywioły pominął zupełnie stronę polityczną, a kręci się zato ciągle w kółko wśród wyłącznie religijnych motywów — idzie o to, która religia wyższa — co dla publiczności wcale nie może być pytaniem, i z góry przeciw Drahomirze pogance ją usposabia. Reprezentantka chrześciaństwa uśmierza rokosz, rozgania tłumy zbrojne urokiem słowa, dobrocią — co bardzo słusznie na korzyść chrześciaństwa i cywilizacyi świadczy — n a j a z d o b c y c h, przynoszących chrześciaństwo, przedstawiony jest jako błogosławieństwo dla Czech. Tymczasem nie trzeba zapominać, że Niemcy prąc od zachodu wraz z chrześcijaństwem przynosili w y n a r o d o w i e n i e i wytępienie, że więc Drahomira i lud broniąc bogów, walczyli za niepodległość i wolność, że więc byli w s w o j é m p r a w i e przeciw najezdnikom. Autor jako Niemiec pominął zupełnie tę stronę, któraby dramatyczność podniosła i nadała utworowi cechę prawdy historycznéj, i zrobił z Drahomiry i jéj stronników tylko uparte, ciemne bryły, niezdolne, aby ich ł a s k a oświeciła, a nieznające nadto własnéj ziemi pod nogami, bo l u d ich opuszcza, a wielbi Ludmiłę i mnichów. Daléj porwanie syna Drahomiry, wyborny dramatyczny motyw, służy tylko na to, żeby przez 4 akta mogło być o tém dużo gadania, przygotowującego na jakieś wielkie c o u p pod koniec. Ale i to się nie udaje, gdyż syn tęskniący za matką, odpycha ją w piątym akcie z motywów religijnych; bo ten syn to przyszły św. Wacław. Słowem, wszystko to może nareszcie ujść w czytaniu, nawet i rozczulić — ale na scenie, chyba tylko na operę przydać się może, gdzie się na loikę tekstu prawie nie uważa. Jednak sztuka ta zapełniła teatr dwa razy. Zasługa tego należy się tłómaczowi i grze. P. Anczyc nietylko przełożył rzecz wierszem wzorowym, ale nadto poczynił wiele zmian, aby akcyą ożywić. P. Modrzejewska jako Drahomira wysiliła cały swój talent, ażeby zarysy roli dane przez autora natchnąć życiem i stworzyć prawdziwego człowieka — kobietę.

Mimo to w roli téj można mówić o pojedyńczych wybornych scenach, w których téż artystka ogromne wywołała wrażenie – całość jednak jest tak nienaturalnie wyszrubowaną, tak się w kółko kręci, że i artystkę wyczerpać i widza znużyć musi, nie dając dla duszy żadnego zdrowego, estetycznego pokarmu.

— Dzień 9ty stycznia był dla lubowników sceny krakowskiéj prawdziwą uroczystością. W dniu tym bowiem ujrzeliśmy po raz pierwszy potężną kreację Szekspirowską: „Króla Leara“, graną na benefis Wincentego Rapackiego. Imię autora złączone z nazwiskiem znakomitego artysty dostatecznėm było, aby do teatru sprowadzić całą prawie publiczność tutejszą.

Nie rozwodząc się bliżéj nad tym wielkim dramatem, powiemy słów kilka o grze samych artystów; a to dla tego, że na kilka dni ledwo przed wyjściem „Kaliny“ grano Leara — a tém samém mało nam miejsca zostało do gruntownéj oceny tego arcydzieła. Wspominamy o tém jedynie, aby nas nie posądzono o lekceważenie przedmiotu. — Otóż przystępując wprost do rzeczy powiemy, że gra p. Rapackiego w tytułowéj roli była pod każdym względem jak zwykle znakomita. Artysta pojął tu w zupełności myśl autora. Każdy najmniejszy odcień szczęścia czy niedoli — promyk nadziei, rozpacz wygnańca, szalona choć rezygnacyjna rozpacz ojca, króla i tułacza, były wystudjowane z największą sumiennością. To też aż dech zamierał w piersi, aż łzy cisnęły się do oczu, kiedy rzucając przekleństwa na niewdzięczne córy (akt IV.) ze stoickim spokojem znosi huragan szalonéj burzy — huczący nad jego osiwiałą głową. Kogóż zresztą nie wzruszył akt V., gdy Lear okuty w kajdany wraz z wierną nieszczęściu swemu córką Kordelią (p. Modrzejewska) rozpacza nad jéj zwłokami?

Kto z taką pracą, z takim talentem odtworzył tę jedną z najtrudniejszych postaci Szekspirowskich kreacyi — ten w pełni zasłużył na miano wielkiego artysty i na oklaski, od których aż drżał teatr cały.

Zwrócić jeszcze winniśmy uwagę na grę p. Nowakowskiego w roli błazna, odznaczającą się głębokim rozmysłem i pojęciem. A rola to trudna... i nie każdemu padło w udziale oddać ją tak szczęśliwie, jak p. Nowakowskiemu. P. Benda trudną rolę Edgara odddał pod każdym względem znakomicie. — P. Ładnowski (syn) w roli Edmunda przeszedł sam siebie. Ciągle widzieliśmy go w pełnem przejęciu się i zrozumieniu czarnego i podstępnego charakteru ubocznego syna hrabi Glostera, którego znowu wcale zadawalająco odegrał p. Wolski. Wreszcie, nadmienić winniśmy słówko o grze p. Ekerowéj w roli Gonevilli, Aszpergerowéj w roli Regany, i p. Modrzejewskiéj w sympatycznéj i z dziwną miłością naszkicowanéj przez Szekspira roli Kordelii. Dwie pierwsze artystki z zadania swego wyszły zwycięzko; — o grze p. Modrzejewskiéj zamilczemy, bo nie starczy już nam słów na pochwałę. Wszędzie znać w niéj wielką i pierwszorzędną artystkę.

Role innych artystów z równąż pracą i sumiennością były oddane i gdyby tylko pan Mędrzycki w drobnéj swéj roli Herolda więcéj chciał się posługiwać pamięcią, a mniéj rachować na pomoc suflera — całość nie pozostawiałaby nic do życzenia. Robimy jedynie tę uwagę artyście ze względu, że w dramatach Szekspira tak mały nawet niedostatek razi i psuje efekt.

Kronika. (Kradzież literacka. — Trochę o karnawale. — Proroctwa i przepowiednie. — Pączki.)

Jużto szczególniejszą sympatyją do wszystkiego co jest własnością Polaków, mają Niemcy. Niedawno temu ukradziono nam Kopernika i gwałtem chciano dowieść, że był czystéj krwi Germanem, farsa przecież nie udała się zupełnie. — Nie wiemy, jak się powiedzie handel podobny Illustracyi Lipskiéj z obrazem Simmlera. Rzecz to arcyzabawna, jak łatwym sposobem nieśmiertelne dzieło śp. naszego Simmlera, przedstawiające „Śmierć Barbary Radziwiłłówny“, — Ill. Lpiska podaje swoim czytelnikom jako Originalzeichnung von de Casso, do tego jeszcze i komentarz!! Jeżeli wszystkie znakomitości są tym sposobem nabyte, mamy prawo powątpiewać w autentyczność dzieł np. takiego Holbeina lub Albrechta Dürera.

Skończywszy o rozbojach literackich i autorskich — przejdziemy do tego, co obecnie wypełnia myśli wszystkich ładnych a pięknych Czytelniczek naszych — do karnawałowych zabaw. Pierwsza reduta teatralna nie udała się zupełnie. Nie było masek oprócz jakich trzech niedowcipnych wcale. Trudno było intrygować się i być dowcipniejszemi nad dnie powszednie. A chociaż między owemi trzema maskami był i Don Quichot i Dulcynea z Tobozo — chociaż Don Quichot klęknął dosyć komicznie przed Dulcyneą — zabawy i śmiechu było mało. Jest nadzieja, że na przyszłą redutę zbierze się więcéj masek i dowcipu — a może nawet trochę więcéj elegancyi, na któréj zbywa tutejszym zabawom.

Zato wieczory tańcujące w kasynie mieszczan krakowskich są bardzo na dobréj drodze — bawią się do upadłego — wprawdzie na pierwszym płeć piękna była bardzo słabo reprezentowaną, lecz z drugiéj strony młodzież umiała utrzymać harmonią i ducha zabawy.

Wśród zabaw — wiru i muzyki — nikt nie pomyśli nad groźną przyszłością, która jak piorunowy obłok zawisła nad tylko co urodzonym 69 rokiem! — Proroctwa najdziwaczniejsze — niby karmelki z wierszykami — sypią się niewiadomo zkąd i dokąd dążą. Jedni mówią: że będzie ciemno a powietrze zatrute dla wszelkiéj płci grzeszników. Drudzy: że ma być jeszcze gorzéj; a są i tacy, co mówią: że na téj cyfrze Pan Bóg skończy z ludźmi i daléj świata nie będzie. A jest jeszcze jedna straszniejsza nad wszystkie przepowiednie, oto trzy rzeczy mają spełnić się w tym roku:

1) Wieliczka się zaleje; 2) Karpaty się zapadną; 3) na pogrzebie pewnéj pani — drugiéj pewnéj pani zginie książka do nabożeństwa. Dwa proroctwa pierwsze i trzecie spełniły się do joty. Ostrzegamy więc wszystkich przed czasem, aby na wiosnę nie szukali Tatrów ani Karpat, bo ich pewno nie znajdą; — chybaby w muzeum archeologicznėm w Berlinie — jeżeli Illustracyi Lipskiéj uda się przeflancować je zawczasu. Ani słowa moje piękne Czytelniczki, dosyć szczupła przyszłość. Dla tego, póki można jeszcze,

radziłbym strapionym pocieszać się — choćby pączkami i faworkami, któreto produkta tak znakomitą w obecnéj chwili odgrywają rolę — zwłaszcza, jeżeli piękne rączęta jakie zawijają w delikatne ciasto pełną smaku i woni niewinną konfiturkę. Niestety! dzieje się to u nas nader wyjątkowym sposobem — najczęściéj posmolona kucharka rzuca na smalec te pulchniutkie ciasteczka. O poezyjo cała, gdzież cię już dzisiaj dopatrzeć!

Gdy kucharki i kuchciki —
Robią pączki i chruściki!

*** **Krolowa Libanu.** Kobieta o 6 stopach wzrostu, prawie jakby stworzona była na fantastyczne miano „królowéj Libanu“, które losy nadały olbrzymiéj Angielce, lady *Ester Stanhope*, wnuczce wielkiego Pitta. Pani ta, jak fizyczuie dziwnym była wyskokiem natury, tak i umysłowo, była najwyższą i niedościgniętą doskonałością angielskiego dziwactwa. Już bo ojciec jéj był dziwak zawołany. Będąc arystokratą najtwardszéj próby oddawał się jednakże filozoficznym marzeniom Russa. Chcąc np. jakkolwiek urzeczywistnić *powrót do natury*, sypiał przy otwartych oknach, — zimą pod tuzinem kołder, z rana posilał się tylko kromką chleba, ale mimo to chował po 200 sług i starał się wszystkich współarystokratów prześnić blaskiem domu i wystawnością. To znów inaczéj sobie na chwilę upodobawszy, odpędzał służbę, pozbywał srebra i kosztowności a piechotą tylko chadzał. Z przewrotnych czynów wnieść łatwo, jakie musiały być jego mowy, które się o uszy córeczki obijały. Matka wcale o wychowanie jéj nie dbała, tonąc w zbytkach, należących w końcu zeszłego wieku do szczególnie dobrego tonu. Nie dziw tedy, że młoda Ester już bardzo rychło poczęła okazywać pierwociny przyszłych doskonałości. I tak raz bawiąc się nad morzem, siadła do łodzi i samuteńka puściła się z wiatrem, chcąc się przewieść na drugą stronę kanału. Rybacy ją pochwycili i odprowadzili do — domu, bo rodzice mało o nią dbali. W takiém chowaniu dorosło dziewczę ośmnastu lat, jak dziki szczep owocowy, — na wsi, nie zepsowana wprawdzie złém, ale też nie zahartowana w dobrém. Zdarzyło się, że wuj jéj, Pitt młodszy, jako minister potrzebując kogoś do robienia honorów domu wziął ją do siebie, bo sam był nieżonaty. Pokochał był za młodu pewną mis Eden, ale wzgardzony sam się nauczył pogardzać. W jego domu tedy młoda Estera pierwszy raz wstąpiła w świat jéj nieznany, miejski, w świat ten wielki, pełen rozkoszy i uroku, ale zepsuciem i rozwiązłością rywalizujący ze światem wszystkich innych stolic w końcu zeszłego stulecia. Dwór — za Jerzego III. — w Londynie dawał przykład w tém życiu bezecném, na którego scharakteryzowanie dosyć przytoczyć szczegół, że parlament postanowił wystąpić przeciwko szerzącéj się niemoralności, a biskup Landoff dowodził, że od wstąpienia na tron Jerzego III. więcéj rozwodów wzięto w Anglii, jak do jego panowania, w całéj historyi angielskiego życia domowego. — W takiém towarzystwie miała i musiała królować młoda Stanhope, a że wrodzone ku temu posiada talenta, na zarozumiałości i wyniosłości jéj nie zbywało, wnet imponującéj postawie swéj nadała także należytą powagę tj. znęciła sobie wielbicieli i przyjaciół, okadzających ją pochlebstwami i nieprzyjaciół ziejących skrytą nienawiścią. Wszyscy drżeli przed panią domu wielkiego ministra, a jéj największą przyjemnością było truć i upokarzać najarystokratyczniejszych lordów. Na pomszczenie każdéj obrazy miała na zawołanie groźną rękę lorda Camelforda, który był jéj szczególnym faworytem z powodu, że tak się między męzkim rodem odznaczał wzrostem, jak lady Ester między płcią piękną. Wnet cała arystokracyja znienawidziła dumną ministrównę i czyhała na sposobność zemsty. Lecz póki wuj żył nie można było dla niéj ani miny skwasić, nadto się i obawiano i nadto szanowano zasłużonego męża, który dzień cały od świtu do późnéj nocy zajęty ciężkiemi pracami i kłopotami rządzenia, nie miał czasu nawet zajrzeć w skrytości pożycia towarzyskiego i jego komeraże. Dopiero, gdy stargany życiem r. 1806 zmarł, wybiła też godzina upadku Estery. Wuj zmarł nie pozostawiając nic prócz 40,000 ft. sztr. długu, rodzice majątek sami roztrwonili, Ester jednym ciosem z wyżyn blasku towarzyskiego widziała się strąconą na poziom ubóstwa i nędzy. Jednakże parlament, który w szlachetném uniesieniu zapłacił długi ministra, wedle życzenia zmarłego, a pomimo intryg nieprzyjaciół, wyznaczył dla Estery roczną pensyją dosyć znaczną jak na sierotę, ale nie wystarczającą dla lady Stanhope. Czuła, że nie wystarczało jéj na życie, którémby imponować i groźną się stać mogła nieprzyjaciołom swym u dworu, — więc chociaż ze zgryzotą ustąpiła z wielkiego świata na wieś — w ustronie górzystéj Walii. — Tam umysł jéj doznał zupełnego przekształcenia. Uczucie słabości, poniżonéj pychy, zamiłowanie w świecie, zmieniło się w nienawiść do tegoż świata, w pogardę; zatapiała się w marzeniach fantastycznych i zupełnéj samotności. Postanowiła wreszcie zupełnie zerwać z Europą i jéj życiem i przeniosła się do Egiptu, a w końcu do Syryi. Tam na niedostępnym urwisku, w romantyczném acz dzikiém położeniu, na południowym stoku Libanu, zbudowała sobie pałac, a raczéj coś nakształt labiryntu i między Maronitami, Druzami, Turkami i Arabami rozpoczęła nowe życie, wschodnie, tajemnicze, czarnoksiężnicze. Tam w ciemnym salonie, do którego się dochodziło krętemi gankami, po schodach i przez podziemia, jako Pytia na trójnogu, zasiadała przyjmując obcych mistycznemi frazesami i kłębami dymu z wiecznie tlejącéj fajki. Przejęła się wiarą, że posiada nadprzyrodzone tajemnice, że z duchami niewidzialnemi ma obcowanie, że czeka na przyjście Mesyasza, z którym wspólnie wjeżdżać będzie do Jerozolimy. Chowała dla niego już muła białego, na którego nikomu wsiąść nie było wolno. Zabawiała się gwiaździarstwem, wróżbami itp. szalbierstwami. Mnóstwo derwiszów pobożnych i urwiszów chytrych schodziło się do niéj, okłamywali, pochlebiali, czcili jako „królowę Libanu“, a ona wszystkich żywiła i obdarowywała. Był to sposób najwłaściwszy, żeby sobie na zabobonnym wschodzie zjednać sławę i poważanie. Powaga jéj zaś doszła do takiéj wziętości, że najpotężniejszy emir Libanu, a podczas krwawéj wojny syryjskiéj sam nawet Ibrahim basza nie odważył się najść zaczarowanego zamku „królowéj Libanu“, w którym po kilka set zbiegów i prześladowanych przechowywała. — Ale jak na zachodzie tak i na wschodzie skończyła się świetność, sława i powaga, gdy nadwerężone fundusze słabnąć poczęły. Nad Emirów i Ibrahimów odważniejsza nędza, zajęła labirynt „królowéj Libanu“, szaty jéj zamieniła w łachmany, wypróżniła szkatułę, śpiżarnie i piwnice, a wraz rozbiegli się derwisze i urwisze. Ostatni żebrak, któremu już nic dać nie mogła, odszedł od niéj z przekleństwem. Zmarła opuszczona w czerwcu r. 1839, wnuczka wielkiego Chathama. W swoim czasie dużo o niéj mówiono w całéj Europie.

*** **Abecadlnik historyczny** — Kraków — nakład księgarni Gubrynowicz i Szmitt. Już firma autora „Kazimierz Góralczyk“ (Wł. Anczyc) uprzedza z góry o wartości téj książeczki. Wydanie ozdobne, obrazek do każdéj litery, treść pożywna. —

Z otuchą należy zapisać, że jeżeli ruch książkowy wyższy w ostatnich czasach prawie ustał — zato wydawnictwa dla ludu, dla dzieci i książek szkolnych, rozwijają się coraz obszerniéj, zapełniając dotkliwą pod tym względem próżnię w literaturze naszéj. Do tego rodzaju książek należy także **Arytmetyka Dziadunia**, czyli historyja dwóch młodych sadowników — nakład J. Gumplowicza. — Może z wszystkich nauk najtrudniéj jest rachunki podać dzieciom w sposób zajmujący, bawiący. Książeczka ta czyni temu zadaniu zadosyć — polecamy ją jako wielce praktyczną i jedyną dotąd w tym rodzaju w języku polskim.

⁂ Alfons Esquiros: **O przyszłem życiu.** — nakład Grzybowskiego. — Książeczka ta zajmuje się odrodzeniem społeczności.

⁂ **Kamienica w długim rynku.** Jestto najnowsza powieść J. Kraszewskiego. Wytrawny talent autora pojawia się tu znowu w całéj swojéj mocy. Rzecz dzieje się w Gdańsku, obejmuje społeczeństwo po części polskie, po części zniemczone, po części niemieckie. Taka mieszanina dostarcza sama przez się rozmaitości barw i wielce zajmujących psychologicznych pojawów, z których też autor obficie korzysta. Jestto oprócz tego świat dla nas nowy, gdyż o ile wiemy, żadna powieść nasza na tém tle nie była dotąd osnutą. Warunki te, dodawszy do nich wdzięk i dziwną prostotę w opowiadaniu, zręczność charakterystyki, umiejętne zaciekawianie aż do samego końca — czynią tę powieść wielce przyjemną do czytania i nadają jéj zarazem prawdziwą literacką wartość. Przytoczymy tu jeden wyjątek, który może nie podaje nic nowego, ale określa rzecz tak trafnie, że warto go sobie zapamiętać:

„Wysokie często wykształcenie kobiet niemieckich nie odrywa wcale od gospodarstwa, od najskromniejszych zatrudnień około kuchni i spiżarni. Idzie się od rądelków do fortepianu nie zżymając, i rozumie równie dobrze oszczędność, jest jak Mendelssohna i Schumana. Jestto niemal właściwością Niemki, iż pojmuje życia wymagania najprozaiczniejsze równie dobrze jak poezyją Goetego i Schillera, że jéj nie nudzi bielizna i pończocha, przy któréj czasem można czytać Jean Paula. Gdy w nowym świecie amerykańskim, dążenie do równouprawnienia kobiet posuwa się aż do zrzeczenia charakteru niewiasty i jéj najpiękniejszéj cechy — obowiązków macierzyństwa — w Niemczech kobieta wybornie równoważy w sobie rzeczywistości nieubłagane życia i swobodę lotu ku ideałom....

To, cośmy wyżéj powiedzieli, musimy dopełnić... postrzeżeniem, iż właśnie Niemcy z małemi wyjątkami, te niewiasty swe tak godne szacunku, ważą sobie i cenią jak najmniéj. Daje się to dotkliwie postrzegać nawet w codziennem pożyciu.... Kobieta gra rolę skromną, podrzędną, często aż nadto cichą i pokorną, jest naprzód gospodynią i sługą, a rzadko kiedy prawdziwie towarzyszką i przyjaciołką mężczyzny. Ażeby się dobić innego stanowiska, wyjątkowego, niemało energii trzeba". To wyjątkowe stanowisko, które jest właśnie naturalném, jest przeciwnie u nas, o ile się zdaje, regułą.

⁂ **Zamek Grójecki** p. W. Bełzę. Kraków 1869. Jestto mały poemacik, napisany prawie jednym pociągiem pióra. Wszystko tam ma jednakową wartość. Nie ma ustępów, któreby miały wybitniejszą cechę. Poemacik p. Bełzy jest pełen liryzmu i prostoty — kierunek ten rokuje autorowi wielką przyszłość — jeżeli sarkazm życia nie zbrudzi pięknéj lilijowéj szaty, w którą p. Bełza stroi dzisiaj swoje piosenki.

⁂ Dowiadujemy się, że do **Czarnej Księgi** oprócz w prospekcie podanych rozdziałów, przybyły jeszcze dwa nowe:

1) Akatuja i cynizm Hrygorjewa, naczelnika Rudnik.

2) Czyny moskiewskich uczastkowych caryków.

Z téj przyczyny dopiero 20go t. m. egzemplarze Sz. Prenumeratorom rozesłane będą. — Przy téj sposobności zwracamy uwagę, iż prenumerata na to dzieło — jak nakładca w prospekcie zapowiedział — tylko do 1go lutego przyjmowaną będzie, do którego to czasu i Administracya „Kaliny" prenumeratę przyjmuje.

Korespondencja „Kaliny".

Panu **N. A.** Nie możemy drukować, gdyż wiersze pana są zbyt ulotne.

Pani **El. Bar.** w Sanoku — z uwag chętnie skorzystamy — dziękujemy.

Panu **Fil.** Jakże z komedyją?

☞ Odebraliśmy z poczty **Niżniów** list z pieniądzmi bez adresu i bez nazwiska — upraszamy o zgłoszenie się.

☞ Zwracamy uwagę, że na drugim arkuszu każdego numeru jest na dole umieszczona **liczba numeru**, żeby nie było trudności przy układaniu całego rocznika.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c.— ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu" księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.